

Najpierw człowiek, potem artysta: Kazimierz Wierzyński.



Kazimierz Wierzyński, 1928 r., fot.
Narodowe Archiwum Cyfrowe.

Florian Śmieja

Mógłbym pamiętać Wierzyńskiego (1894-1969) jako bożyszczce wystrojonych, wytwornych pań i eleganckich panów, którzy w londyńskim Ognisku witali go owacyjnie, kiedy przyjeżdżał z za wielkiej wody. Piękna, postawna postać wziętego poety wabiła oko, a uchu schlebiała jego popularna poezja o urodzie życia świadcząca.

Znałem go jako zdobywcę medalu olimpijskiego, który tyczkarza i dyskobola pomieścił na Parnasie. Czytałem chętnie jego beztrudne wiersze i jego utwory emigracyjne pełne melancholii. Wzruszył mnie jego kufer, „blachą okuty”, któremu pozostał wierny.

*Cała moja ojczyzna,
Paszporty, obywatelstwa,
Emigracyjne wizy.*

Po dziś dzień robi na mnie wrażenie jego liryczne zaproszenie:

*Ktokolwiek jesteś bez ojczyzny
Wstąp tu, gdzie czekam po kryjomu:
W ugornej pustce jałowizny
Będziemy razem nie mieć domu.*

A przecież, kiedy żył, twórczość jego znałem zaledwie powierzchownie, będąc w wieku, kiedy zbyt wiele nowego kłóci się w zajadłej kakofonii o wejście do jaźni. Był to też wiek górny, wiek durny krępowany kapliczkowymi lojalnościami, a przynajmniej krzątaniną.

Chociaż nie dałem sobie narzucić grupowej obroży, były inne powody, bardziej prozaiczne, jak choćby ustawiczne zachody, aby uruchomić, a potem utrzymać własne pismo, warsztat i trybunę, które uniemożliwiały czy utrudniały bliższe obcowanie z kolejnymi tomami Wierzyńskiego, nic już nie mówiąc o przeżywaniu ich, jak na to zasługiwały. Musiała więc poezja ta poczekać cierpliwie. Nie trzeba zresztą było się obawiać, że się zdezaktualizuje.

Wierzyński znany był z wielkiej serdeczności, jaką otaczał młodych poetów. Być może, że taka już była jego natura. Mógł być również wdzięcznie zapamiętać wrażenie, jakie na nim wywarła głośna recenzja Wacława Grubińskiego witająca w słowach wyrażających najwyższy podziw tomik „Wróble na dachu”.



Halina i Kazimierz Wierzyńscy, Frascati
1965 r., fot. Biblioteka Uniwersytecka w
Toruniu.

Będę go pamiętał za to, że był „najpierw człowiekiem, potem artystą” (motto jego poetyckiego debiutu). Na krótko przed swoją śmiercią sprawił mi wielką przyjemność i honor. Po przeniesieniu się na uniwersytet w Nottingham, rzadziej bywałem w Londynie. Przyjechawszy raz wśród zimy mocno przeziębiony odwiedziłem, jak to było moim zwyczajem, drukarnię Oficyny Poetów i Malarzy mieszczącą się pod przęsłem mostu kolejowego na Tamizie opodal stacji kolejowej Waterloo. Czekająca mnie miła niespodzianka. Czesław i Krystyna Bednarczykowie, poeci, drukarze i właściciele Oficyny, zaprosili mnie na kolację do pobliskiej restauracji pod słynną salę koncertową Royal Festival Hall. Tam, ku mojej wielkiej radości, zjawili się Halina i Kazimierz Wierzyńscy. Pan Kazimierz rozbroił mnie na samym wstępie, kiedy uściskawszy mnie oświadczył prosto, że miał wprawdzie inne plany na wieczór, ale przecież nie chciał stracić okazji, żeby mnie wreszcie poznać osobiście. (Wymienialiśmy od czasu do czasu listy). Tłumaczył, że w jego wieku nie mógł sobie pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy.

Ta szlachetna wielkoduszność w stosunku do młodszych kolegów po piórze jakże odbiegała od przysłowiowej zazdrości pisarzy. Zmiarkowawszy ponadto szybko, że ledwo mogłem mówić, tak się moją chorobą przejął, że nakazał zostać w Londynie i udać do jego lekarza gwarantującego murowany efekt kuracji. Po dziś dzień odczuwam wzruszenie na myśl o szczerzej trosce mistrza Kazimierza, któremu niedługo potem nawet jego zaufany lekarz pomóc nie zdołał.



Kazimierz Wierzyński w ogrodzie w Sag Harbor, fot. Biblioteka Uniwersytecka w Toruniu.

Wierzyńscy, po długich latach tułaczki w obu Amerykach, wrócili do Europy, aby osiąść w Londynie, otoczeni przyjaciółmi i wielbicielami. Wieść o nagłym zgonie poety rozeszła się po Anglii błyskawicznie. Pojechałem na pogrzeb, który m.in.

zgromadził komplet pisarzy i redaktorów.

Na cmentarzu na Hampsted po pięknym przemówieniu ambasadora Edwarda Raczyńskiego i po oracji Aleksandra Janty, który przyleciał z Nowego Jorku, fotografowano licznie zebranych żałobników. Stojąc z boku na żadne oficjalne zdjęcie jego pogrzebu się nie dostałem. To dobrze. Byłby to przywilej nie zasłużony.